



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Kazimiera Toniak

Pamiętam jak dziś

Wrzesień 1939 roku. Przez kilka dni czarne limuzyny pędziły z piskiem opon w stronę mostu na Bugu. Kiedy zdarzyła się niewielka przerwa w ruchu i jezdnia była pusta, dzieci wbiegały na nią, przyklekały, dotykały rączkami kamieni i dziwiły się, że takie gorące. Niektóre kładły się na brzuchu, przytulając do nich policzki. Zrywały się natychmiast i uciekały na pobocze, gdy tylko zjawiał się nowy sznur samochodów.

Potem ludzie zaczęli opuszczać Hrubieszów, przenosić się do krewnych na wieś. I nasz ojciec odwiózł mamę z dziećmi do swojej rodziny w Szpikołosach, a sam wrócił pilnować domu. Dziadek był miły i dobry dla niespodziewanych gości, natomiast jego żona złościła się, powtarzając stale: „Jak bida, to do Żyda!” Na jedną z kuzynek dziadek kazał mówić dzieciom wujenka. Ile było śmiechu, kiedy zapytałam ją, czy to o niej jest piosenka „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani?”

Matka nasza zajęta była półrocznymi bliźniakami, natomiast ja ze starszą siostrą naradzałyśmy się w tajemnicy, w jaki sposób wyrwać się do ojca i zobaczyć, jak sam żyje w mieście. Jednego ranka wstałyśmy bardzo wcześnie i nie budząc nikogo wyruszyłyśmy w drogę. Dobrze jej nie znałyśmy, lecz Irenka zapamiętała jakieś szczegóły i prowadziła mnie ze sobą. Gdy natrafiliśmy na rzekę zdjęliśmy sandały, podciągnęliśmy sukienki do góry i przeszliśmy szczęśliwie na drugi brzeg. W mieście zaskoczyła nas pustka i cisza. Musiałyśmy uważnie patrzeć pod nogi, gdyż chodniki i jezdnia były zasłane porzuconą bronią i amunicją. Minęliśmy śródmieście i weszliśmy na kasztanową aleję przy cmentarzu. Tam grupa polskich żołnierzy zatrzymała jakiegoś cywila. Dowódca głośno pytał: „Chłopcy, zabić go?”. „Zabić!” – krzyknęły. Podchodzimy bliżej, patrzymy, a to nasz ojciec ma być rozstrzelany. Dowódca oddziału wziął go za rosyjskiego szpiega, więc miał zginąć. Bez dokumentów, zarośnięty, zaniedbany, ze strachu nie mógł wymówić słowa. Wtedy 9 letnia Irenka rzuciła się oficerowi do nóg. Prosiła go i błagała, żeby ojca nie zabijał, natomiast ja (5-letnia) uczepliłam się jego szynela i ciągnęłam do tyłu. Widok dzieci zatrzymał na moment dowódcę, lecz nie było czasu na zmianę decyzji. Już przystawił ojcu lufę karabinu do czoła, gdy niespodziewanie z pobliskiego domu wyszła stara kobieta, matka miejscowego grabarza. Padła przed oficerem na kolana, całowała go po rękach i przysięgała, że ten zarośnięty mężczyzna jest tutejszy, zna go od wielu lat; uczciwy i przyzwoity, utrzymuje z pracy rąk żonę i 5 dzieci. „Zabij mnie młody oficerze – wołała przez łzy. – Ja się już nażyłam, dzieci mam dorosłe, a ten człowiek ma tyle drobiazgu do wychowania. Nie zabieraj im ojca...” Oficer podniósł kobietę z kłęczek, coś jej tłumaczył o surowych prawach wojny, nakazujących niszczenie szpiegów. Nagle zamilkł. Błyskawicznie wycofał swój oddział na cmentarz i ukrył za nagrobkami, bo od strony Bugu zbliżały się oddziały sowieckie. Jeszcze ojciec nie ochłonął z silnego wrażenia, jeszcze nie bardzo przyszedł do siebie po chwilowym omdleniu, ledwie podziękowałyśmy matce

grabarza za ratunek, a już otoczyli nas „kałmuki”, mówiąc: „Ty Paliak!” Ojciec chodził do szkoły pod zaborem ruskim, pamiętał dużo słów tego języka, więc nakazawszy dzieciom milczenie, jakoś zdołał się rozmówić. I puścili go wolno. Po paru dniach wojska sowieckie wycofały się za Bug, a po nich wkroczyli do Hrubieszowa Niemcy.

Zaczęła się okupacja. Matka nasza na początku wojny wróciła z najmłodszymi dziećmi do domu w mieście, a dwie starsze moje siostry zostały u dalszych krewnych na wsi. Jedna z nich trafiła do ciotki, której synowie byli w partyzantce. Z późniejszych opowieści sąsiadów wiemy, iż pewnej nocy Niemcy urządzili obławę na partyzantów, wymordowali ich rodziny, spalili zabudowania, a moją 10-letnią siostrę skopali i pobili kolbami, zmuszając ją w ten sposób do wydania kryjówki partyzantów. Nie mogła wydać, bo jej nie znała, a z przeżytego szoku nie wyleczyła się już nigdy.

Podczas okupacji poszłam do I klasy szkoły podstawowej. Lekcje odbywały się w małym, drewnianym budynku, a kiedy i jego zabrakło, to w stodole rolnika za miastem. Zamiast książek były ogłupiające dzieci „Stery”, ale pan Józef Gołąb uczył nas z pamięci i to wszystkiego podwójnie – inaczej kiedy byliśmy w klasie sami, a inaczej – dla przechodzących pod oknami Niemców. Pamiętam, że znaną starą piosenkę o Wiśle śpiewaliśmy w zależności od sytuacji tak:

Płynie Wisła płynie,
po polskiej krainie.
A dopóki płynie,
Polska nie zaginie.

albo tak:

Płynie woda płynie,
po ludzkiej krainie.
A dopóki płynie,
życie nie zaginie.

Zapamiętałam jeszcze z czasów okupacji pogrzeby partyzantów (codziennie chowali po kilku) i łapanek mężczyzn na ulicach. Ludzie opowiadali potem, że gdzieś niedaleko spalili wszystkich w stodole. Rodziny długo oplakiwały najbliższych, a dzieci bawiły się w pogrzeby, unosząc do góry liście łopianu niczym żałobne chorągwie i coś nucily. Nocami niebo nad miastem było czerwone od palonych w okolicy wsi, liczni pogorzelnicy uciekali do miasta, a ich dzieci – nawet na kilka dni – przychodziły do szkoły na lekcje. Znane są narodowościowe rzezie, jakie miały miejsce w tych okolicach.

I jeszcze dzieci Zamojszczyzny. Kilka razy słyszałam, że sąsiedzi wybierają się na stację po jakieś dziecko. Mówili, że trzeba mieć dużo pieniędzy. Czekali na transport, ale dzieci tych Niemcy nie powieźli na wschód od Zamościa, ludzie wychodzili więc do pociągów na próżno. Widziałam też transport Żydów do getta. Chodnikami szli z psami gestapowcy, a środkiem ulicy ciągnęła fala wystraszonych ludzi, bitych i popędzanych, jak np. młoda kobieta w ciąży, która niosła przed sobą tylko poduszkę. Starsi wołali o pomoc, lecz było to fizyczną niemożliwością. Z getta za miastem do pociągu wyprowadzali ich nocą...

Lidonia, 5-letnia Ukrainka z naszego sąsiedztwa, była jedynaczką. Oprócz rodziców troszczyły się o nią ciocia i babcia. Przez cały dzień zamęczały ją pytaniami w rodzaju: „Lidoni, może chcesz jajce?” A mała na wszystko odpowiadała: „Ja ny chaczu”. Była drobnutka, wątła, niczym roślina cieplarniana bez słońca. W upalne lato zawsze chodziła w białych pończochach, a jej główkę osłaniał słomkowy kapelusz. Gdy inne dzieci ścigały się po łąkach, przeskakiwały płoty, wdrapywały się na drzewa, to Lidonia mogła najwyżej bujać się w cieniu na huśtawce, zawsze w towarzystwie matki, babci lub ciotki. Była poważna, milcząca i smutna. Tylko raz widzieliśmy ją energiczną i ożywioną, kiedy moje siostry przyniosły z kuchni Czerwonego Krzyża kanekę gorącej zupy. Nasza matka wyniosła z domu blaszane miski i łyżki, posadziła dzieci kołem na trawie i rozdawała porcje. Jadłyśmy łapczywie, z apetytem, rywalizując między sobą kto szybciej, komu przypadnie repeta. Nasz osobliwy obiad na trawie obserwowała ciekawie Lidonia zza węgła domu. Nawet wołałyśmy ją do nas. Matka chciała częstować ją fasolówką czy barszczem, lecz ona nie ruszyła się z miejsca. Dopiero gdy najedzone rozbiegłyśmy się do przerwanej zabawy, porzuciwszy łyżki i miski na murawie, Lidonia przybiegła do nich i energicznie zaczęła wyjadać resztki, wręcz je wylizywać. Musiało w nich być coś bardzo smacznego, skoro dzieci sąsiadów tak chętnie jadły. W oknie pojawiły się przerażone twarze kobiet z asysty Lidoni. Wołały ją, coś po ukraińsku tłumaczyły, lecz żadna nie ruszyła się, by ją zabrać do domu. W tym momencie wrócił z biura ojciec Lidoni. Przystanął na chwilę, popatrzył na córkę i bez słowa wszedł do mieszkania. Po chwili słychać było stamtąd głośne rozmowy, zrozumiałe dla nas, bo ojciec Lidoni był Polakiem. Wyrzucał kobietom, że nie mają pojęcia, jak chować dziecko. Nie potrafią gotować, nie wiedzą czego mu potrzeba. Karmił Lidonię samymi słodkościami, gdy jej organizm potrzebuje pokarmów pobudzających apetyt. Wyjadanie przez nią resztek prostej zupy jest tego najlepszym dowodem. Ojciec Lidoni poprosił naszą matkę, aby od tej pory pozwalała jej przychodzić z miseczką w porze posiłku i jeść z dziećmi na trawie zupę z kuchni CK.

Wanda była piekielnie odważna, sprytna, a przy tym nigdy nie opuszczała jej szczęście. Młodsze dzieciaki z podwórka podziwiała ją, zabiegały o jej względy, prosiły, by je gdzieś ze sobą zabrała, a potem

chwalily się, opowiadając jej przygody jako własne. Kiedyś poszłam z nią na stację po węgiel. Leżały go tam całe góry, lecz pilnował ich niemiecki wartownik. Strach było zbliżyć się, nie mówiąc o porwaniu czarnej grudy do domu. Wówczas 12-letnia Wanda zostawiła mnie koło jamy po bombie, a sama siadła na miedzy i pilnie obserwowała strażnika. Kiedy tamten skrył się za zwalami węgla jednym susem była przy nich, porwała grudę i pędziła z nią do jamy. To była dopiero zdobycz dla mnie, za to następnym razem „upolowała” taką samą dla siebie. A potem, jakby nigdy nic, prawie na oczach wartownika wychodziłyśmy z ukrycia, niosąc przed sobą cenne skarby. Nie widział nas przecież przy węglu.

Innym razem matki wysłały nas razem po zakupy. Po drodze mijaliśmy niemieckich oficerów. Wanda prostowała się, wyciągała w górę rękę i wołała: „Heil Hitla”, za co przeważnie dostawała cukierki. Jeśli ich nie było, po odejściu kilku kroków zaczynała śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Zwinna była niczym pantera, sama wyuczyła się cyrkowych sztuczek i w karnawale zarabiała nimi w lokalach. Czasem wzięła jakieś młodsze dziecko do towarzyszenia, lecz tylko po to, by pod osłoną maski kota czy psa było dla niej podporą przy najdziwniejszych figurach i łamańcach. Z szarf cementarnych wieńców – po ufarbowaniu na ciemny kolor – robiła sobie kokardy do włosów. Kiedy na deszczu farba rozpuściła się, można było przeczytać na jej wstążkach komu i przez kogo były one z kwiatami ofiarowane. Raz nawet zamknęli ją chłopcy w starym grobowcu, gdy weszła tam podczas Zaduszek. Po jakimś czasie wyszła uśmiechnięta, chwając odpoczynek w ciszy i towarzystwie zacnych zmarłych.

Pamiętam osobliwe święconki w Wielką Sobotę. Zamożne gospodynie ustawiały odkryte kosze dwoma rzędami wzdłuż kościoła, środkiem szedł ksiądz i je święcił, a za nim podążali głodni, umorusani chłopcy, dzieci niczyje, wojenne sieroty i zapamiętywali, gdzie jest najwięcej jajek i wędlin. Potem kobiety stawiały swoje kosze przed bocznym ołtarzem św. Antoniego, a same szły pomodlić się do grobu Chrystusa. Chłopcy w tym czasie porywali najcięższe kosze, uciekali z nimi w krzaki nad rzekę i tam wyprawiali sobie Wielkanoc. Ile było krzyku i zamieszania, kiedy właścicielki koszy nie mogły uwierzyć, iż ktoś mógł je ukraść z kościoła. Gdyby zobaczyły tych 10-12 letnich obdartych chłopców, pewnie by im wybaczyły. Tak jak święty Antoni, co koszy nie upilnował...

Rok 1944. Gdy wiosną front zbliżał się do Bugu, Niemcy zapędzili dorosłych i dzieci do kopania okopów. Każdemu wyznaczili odcinek. Już na początku pracy znalazłam się między jakimś mężczyzną i kobietą, którzy po wybraniu ziemi ze swojego odcinka (kiedy wartownik odszedł), pomagali mnie, wybierając po kilka łopat ziemi, każde od swojej strony. Dzisiaj rozumiem tę ich milczącą solidarność. Porozumiewali się spojrzeniem, gestem. A co myśleli pilnujący nas Niemcy, kiedy wszystkie dzieci były rozdzielone pomiędzy starszych i każde – z ich punktu widzenia – pracowało dobrze, bo okopy obniżały się równo?

W lipcu 1944 roku ludzie uciekali z miasta, przeczuwając w nim opór okupanta. Każdy zabierał ze sobą co miał najcenniejszego lub najpotrzebniejszego, a mój 5-letni brat niósł na rękach małego, czarnego kotka. Podczas nalotów chowaliśmy się do rowów, pod drzewa, kot ciągle bratu uciekał, on wybiegał za nim, a rodzice zamierali z przerażenia. Po kilku dniach, kiedy front względnie spokojnie przesunął się na zachód (Niemcy wycofali się nocą), fala uciekinierów wracała do miasta. W drodze spotkaliśmy sowieckich żołnierzy, którzy wyjechali na koniach z lasu i kierowali się na drewniany most na Huczwie. Zatrzymaliśmy się, by ich przepuścić, a wtedy kotek wyrwał się bratu i uciekł na most. Brat pobiegł za nim i w jednej chwili znalazł się w gęstwinie koni i wojska. Matka krzyczała z przerażenia, ojciec próbował go szukać, lecz wrócił. Nagle zobaczyliśmy, że na środku mostu ktoś konie zatrzymał, jeden z żołnierzy chwycił chłopca na rękę, następnie pomógł mu jeszcze znaleźć wystraszonego kota. Dalszą część mostu przebył już mój brat (z kotem) na wojskowym koniu, po czym żołnierz oddał go matce...

Po przejściu frontu zapanowała w mieście epidemia czerwonki, na którą umierały przede wszystkim dzieci...